

Jan Miklas-Frankowski
Uniwersytet Gdański

**„TO SYJONISTYCZNE WYCHOWANIE DAŁO MI SIŁĘ,
BY NIE STAĆ SIĘ OWCĄ POTULNIE IDĄCĄ NA RZEŻ” .
OPOWIEŚĆ O OCALENIU AWIGDORA KOCHAWA
W *MY JEDWABNEGO* ANNY BIKONT**

My z Jedwabnego Anny Bikont jest książką niezwykłą z wielu powodów. Nie tylko dlatego, że zdobyła tak prestiżowe nagrody jak National Jewish Book Award (w kategorii Holocaust; 2015), European Book Prize (2011), i że znalazła się w finale nagrody Nike (2005). To nie tylko zapis „doświadczenia Jedwabnego”¹, jednego z najbardziej intensywnych, potransformacyjnych sporów o naszą narodową i pamięć tożsamość, w którym „dramatycznie starły się dwie wizje Polski”². To także ponad 600-stronnicowy zapis 4-letnich poszukiwań, kwerend w archiwach, rozmów ze świadkami, sprawcami i ofiarami. Anna Bikont chciała dowiedzieć się jak najwięcej o zbrodni i opisać, jak wygląda życie miasteczka, które ukrywa mroczną tajemnicę³, a napisała także książkę o współczesnej Polsce i Polakach.

Struktura *My z Jedwabnego* jest dwudzielna. Z jednej strony to dziennik prowadzony przez Annę Bikont od dwudziestego ósmego sierpnia dwutysięcznego do dziesiątego lipca dwutysięcznego czwartego roku. Z drugiej to piętnaście reportaży w formie rozdziałów, z których znaczna większość poświęcona jest indywidualnym bohaterom. Bohaterem rozdziału ósmego jest Awigdoor Kochaw, który w 1941 roku miał piętnaście lat i nosił jeszcze rodowe nazwisko Nieławicki.

¹ J. Tokarska-Bakir, *Wy z Jedwabnego*, w: tejsze, *Rzeczy mgliste. Eseje i studia*, Sejny 2004, s. 191.

² A. Bikont, *My z Jedwabnego*, Wołowiec 2012, s. 385. Przy kolejnych cytatach z książki stosuję skrót MJ, a po przecinku numer strony.

³ Zob. A. Wójcińska, *Anatomia Zbrodni. Wywiad z Anną Bikont*, w: tejsze, *Reporteryzy bez fikcji. Rozmowy z polskimi reporterami*, Wołowiec 2011, s. 140.

Awigdor Kochaw był jedną z niewielu osób, które przeżyły zbrodnię w Jedwabnem, i jedną z dwóch, które jeszcze żyły, gdy Anna Bikont pisała swoją książkę. Drugim żyjącym „żydowskim świadkiem zbrodni w Jedwabnem” (MJ, 440) był Mosze Olszewicz, którego wraz z narzeczoną Elke ukrywała w kryjówce pod chlewem Antonina Wyrzykowska. Jednak mimo protekcji Antoniny Wyrzykowskiej, Olszewiczowie zrywają Bikont, próbując telefonicznie potwierdzić umówiony wcześniej termin wizyty w ich domu w Buenos Aires. Najpierw Elke twierdzi, że to pomyłka. A gdy Bikont wyjaśnia łamanym hiszpańskim, że były umówione, „pokrzykuje już po polsku” (MJ, 440):

– Po co odgrzebywać to po latach, komu to potrzebne? (...) Dość tego. I prosimy więcej nie dzwonić.

Dokładnie ten sam ton, dokładnie te same słowa słyszałam już nieraz, ale od polskich świadków (MJ, 440)

Pierwszy raz nazwisko Kochawa przywołuje Bikont na samym początku swojego śledztwa, w czwartym wpisie dziennikowych *Zapisków*, gdy przegląda zarchiwizowaną w internecie *Jedwabińską księgę pamięci*. Awigdor Kochaw jest cytowany jako jeden ze świadków tego, co wydarzyło się w Jedwabnem 10 lipca 1941 roku: „Grupa chłopaków potłukła mnie bezlitośnie i zawlekli mnie na rynek; poganiali i bestialsko bili umęczonych, głodnych i spragnionych ludzi, którzy mdleli od stania cały dzień w piekącym słońcu” (MJ, 9).

Wkrótce Bikont dowiedziała się, że Awigdor Kochaw wciąż żyje. Gdy odnajduje jego izraelski numer telefonu i próbuje nakłonić go przed planowaną wizytą w Izraelu do rozmowy, kilkakrotnie odmawia, tłumacząc, „że źle się czuje i nie ma ochoty rozmawiać” (MJ, 226).

W zapiskach z 13 maja 2001 Bikont tłumaczy jego odmowę niechęcią do obcowania z kimś z Polski, „co może być dla niego zbyt dużą traumą” (MJ, 226). Kochaw jest jednak dla Bikont zbyt cennym źródłem, więc obmyśla inną strategię na dotarcie do niego i przełamanie jego dystansu i niechęci:

Wysłałam do niego Szmulka Horowitza, mego wujka, założyciela i emerytowanego dyrektora domu starców w Tel Awiwie, jedną z najserdeczniejszych osób, jakie poznałam w swoim życiu. Pomogło. Szmulek ma zadzwonić jeszcze raz, gdy już będę na miejscu. Ma obietnicę, że Kochaw nas przyjmie (MJ, 226).

24 maja 2001 roku Bikont odnajduje świadectwo Kochawa w muzeum Jad wa-Szem (MJ, 234), a dzień później jedzie z wujkiem Szmulkim na

umówioną wizytę, która zaczyna się od emocjonalnej krytyki Adama Michnika:

Czytałem (...) że pan Michnik chwalił Polaków, że to bohaterski naród i jak Żydom pomagali. Tyle tylko ma do powiedzenia w sprawie Jedwabnego?

– Próbuję oponować, że to niejedyna rzecz, jaką Michnik i „Gazeta” mają do powiedzenia w sprawie Jedwabnego, ale Kochaw przerywa mi w pół zdania.

– Nie spotkałbym się z panią. Rozmawiamy tylko dlatego, że nie chciałem obrazić pani wujka (MJ, 239).

Wybuchowy temperament Awigdora Kochawa ujawnia się raz jeszcze. Na koniec drugiego dnia rozmowy, gdy Bikont relacjonuje, że rozpoczęte niedawno prace ekshumacyjne mogą zostać przerwane z powodu protestu rabinów, Kochaw bardzo się denerwuje:

– Dlaczego te Moški miałyby decydować o ekshumacji? – wścieka się Kochaw. – Moški, ja tak mówię o rabinach wedle mego wychowania syjonistycznego, które odebrałem przed wojną w Polsce w świeckiej szkole syjonistycznej w Wiźnie (MJ, 239).

Awigdor Kochaw nie tylko całe życie pozostał wierny idei syjonistycznej, ale relacjonując swoją historię, był wręcz przekonany, że wychowywanie wyniesione z wiźnieńskiej szkoły uratowało mu życie. Jego wojennym i powojennym przeżyciom Bikont poświęciła w całości ósmy rozdział swojej książki zatytułowany: *Jedyna szansa to udawać goja, czyli opowieść o ocaleniu Awigdora Kochawa*. Bikont otwiera go następującym obrazem:

Pędzili ich polną drogą, pośród wysokich łąków żyta. „I tak zabiją – pomyślał – ale spróbuję uciec”. Wyskoczył z tłumu, pochylił się i z impetem ruszył w żyto. Przebiegł kawałek, położył się. Znieruchomiał, wstrzymał oddech. Wiedział, że najmniejszy ruch, a zboże zacznie falować (MJ, 300).

Najpierw pojawia się obraz wiejskiego sielskiego krajobrazu: łąków zbóż żyta, które w języku są naturalnie porównane do falującego morza, przełamany złowieszczym słowem *pędzili*. I następnie dynamiczny, rysowany niemal samymi czasownikami obraz karkołomnej, z góry skazanej na niepowodzenie ucieczki. To zboże, którego falowanie mogło przywołać oprawców, było zresztą jedyną szansą ratunku.

Gdy 16 grudnia 2000 roku Bikont w drodze do Pizy pierwszy raz przejeżdża przez Jedwabne, ma refleksje przywołujące mi na myśl wiersz Miłosa *Równina* lub opis krajobrazu z *Traktatu poetyckiego* czy *Rodzinnej Europy*:

Kilometry otwartej przestrzeni, gdzieniegdzie rzadkie kępki drzew – płaski mazowiecki krajobraz uświadamia mi, jak nikła musiała być nadzieja, że uda się skryć przed oprawcami.

Co prawda teraz jest zima, wtedy był lipiec, w polu stało niezżęte zboże (MJ, 22).

To niezżęte lipcowe, wysokie zboże dawało nikłą nadzieję ucieczki. W świadectwach często pojawia się z jednej strony obraz zboża jako miejsca schronienia: w zbożu za kościołem schronił się w Jedwabnem drugi ocalony, Mosze Olszewicz, w zbożu 7 lipca ukrywali się Finklesztejnowie z Radziłowa, a później Stanisław Ramotowski z przyszłą żoną Marianną (pogrom w Jedwabne przetrwał w zbożu także Gerszon Zdrojewicz, choć całej wojny nie przeżył). Z drugiej strony pola zbóż stanowiły też miejsce poszukiwań schronionych w nim Żydów. Stanisław P. – urodzony w Jedwabnem rozmówca Bikont z Jedwabnego – opowiada, jak starsi sąsiedzi wspominali mu o tym, co działo się nad stawem: „rosło gęste zboże, ludzie przeszukiwali je, a jak znaleźli Żyda – topili” (MJ, 191). Leszek Dziedzic wspomina o zdarzeniu w Przestrzelu, gdy falujące zboże wydało żandarmom idącego polem Żyda (MJ, 281). Według pamiętników Chaji Finkelsztejn, podobnie było w Radziłowie: „przy wyjazdach z miasteczka było dużo chłopów i chłopek pilnujących każdego ruchu Żydów – Słyszeliśmy krzyki chłopów, że tratuje się zboże, nie pozwalali nieszczęśnikom się ukryć” (MJ, 425). To samo potwierdziła Bikont Janina Staniurska – „Po zbożach trochę ludzi się pochowało, rozwścieczeni bandyci z pałami przeszukiwali pola” (MJ, 427) i Hania Zalewska „Wyłapywano tych, którzy uciekli z pochodu i ukryli się w zbożach” (MJ, 429).

Te nieudane próby ratunku pojawiają się też w obrazie pamięci Awigдора Kochawa:

Takich jak on desperatów musiało być więcej. Słyszał nawoływania chłopaków, którzy tratowali zboże w poszukiwaniu uciekinierów. Całkiem blisko rozległ się wrzask: „Cholera, cicho bądź”, potem cienki ni to krzyk, ni to zdławiony płacz. Zrozumiał, że tuż obok niego gwałcą jakąś dziewczynę (MJ, 300).

Znowu wstrzymuje oddech, nasłuchuje. Gdy wrzawa ucichła, „nagle w oddali usłyszał szum, coś jakby brzęczenie, wibrowanie powietrza, a potem w niebo strzelił słup dymu” (MJ, 301). Wróciła mu nadzieja. „Wybuchł pożar – pomyślał i odetchnął z ulgą. – Domy w miasteczku są drewniane, straż ogniowa – ochotnicza. Zaraz ruszą gasić ogień, zostawią w spokoju Żydów” (MJ, 301).

Dopiero gdy wrócił do łomżyńskiego getta, gdzie docierali nieliczni ocaleni z Jedwabnego, uświadomił sobie, że to buczenie to „pogłos wspólnie odmawianej przed śmiercią modlitwy: *Szma Israel, Adonaj elohejnu, Adonaj*

echad” (MJ, 307). Tymczasem Awigdor leżał w zbożu, próbując przewieźć, co stało się z pozostawionymi w Jedwabnem Żydami:

„Ilu może tam być Niemców, niewielu, jak Polacy odejdą, nie dadzą sobie rady z tyloma Żydami” – myślał. Albo: „Jak dobrze, że nie słyhać strzałów, może obejdziesz się bez ofiar”. Tylko skąd ten intensywny swąd spalonego mięsa? Ale przecież możliwe, że zajęła się czyjaś obora lub stodoła ze zwierzętami w środku (MJ, 301).

Tak pocieszając się, leżał w zbożu do zmroku. Gdy wyszedł, spotkał przechowanego przez Polaka w piwnicy Żyda, który uświadomił mu, że Żydzi w Jedwabnem zostali spaleni. Ostrzegł, że chłopci zaczynają grabić żydowskie domy, więc Awigdor nie mógł wrócić do swoich krewnych Pecynowiczów w Jedwabnem, gdzie znalazł chwilowe schronienie. Dwa dni przesiedział z kilkoma Żydami w zbożu, ale ponieważ chłopci przeczesywali pola, postanowili rozdzielić się i wrócić do Łomży. Wtedy, zdaniem Bikont, nastąpiło przełomowe zdarzenie, od którego zaczął stosować i rozwijać strategię, która pozwoliła mu przeżyć:

Polacy musieli mieć przepustki, a Żydom nie było wolno podróżować w ogóle. Awigdor zobaczył Niemców kontrolujących ruch na moście przez Narew. Mógł przepłynąć rzekę, jak się ściemni, ale nie chciał poruszać się po ciemku w obcym mieście. Zaobserwował, że żołnierze nie zatrzymują fur. Jakiś chłop zsiadł z wozu i szedł przez most pieszo, prowadząc konia. Awigdor przeszedł tuż za nim. Tak zadebiutował w roli Polaka (MJ, 301).

Na razie porzuca nową tożsamości i wraca do Łomży, gdzie ma nadzieję zastać swoich rodziców. Do getta dociera akurat na upamiętniające zburzenie Świątyni Jerozolimskiej święto Tisza be-Aw, ale w mieście nikt jeszcze nie słyszał o mordzie w Jedwabnem i modlący się na podwórku Żydzi patrzą na niego jak na szaleńca.

W tym miejscu Bikont przerywa opowieść Kochawa. Wydziela sekwencję wydarzeń z dziesiątego lipca i następných dni aż do powrotu do Łomży. Te pierwsze dziesięć akapitów rozdziału zdecydowanie różni się od jego reszty. W jego dalszej części nie znajdziemy tyłu prób pośredniego oddania emocji bohatera, odtworzenia jego wewnętrznego dialogu, poetyzacji czy zabiegów retardacyjnych i poetyzacyjnych. Bikont nie podaje czytelnikowi wprost miejsca ani czasu przeżywanych przez bohatera wydarzeń, natomiast pojawiają się w tekście na tyle znaczące elementy, że czytelnik dosyć szybko orientuje się, że jest to próba odtworzenia subiektywnej perspektywy doświadczenia, jednostkowa relacja z dnia spalenia jedwabieńskich Żydów, a więc wydarzenia wokół którego zbudowana jest cała książka.

Przyznam że nie rozumiem do końca tego zabiegu, biorąc pod uwagę całą strukturę i spójność rozdziału, który dalej jest dużo bardziej skondensowanym opisem życia Awigdora Kochawa do 1946 roku. Co ciekawe, jego życie późniejsze zdaje się w ogóle nie interesować Bikont. Być może początek rozdziału to próba podkreślenia ważności świadectwa jedyne żyjącego żydowskiego świadka tych wydarzeń, do którego udało się Bikont dotrzeć. A może po prostu jest to próba odtworzenia języka i naturalnej sekwencji wspomnień prezentowanych przez bohatera w trakcie rozmowy z reporterką?

Z drugiej strony to nie język ani forma stanowi o sile wyrazu tej książki. Bikont nie chce przypodobać się czytelnikowi czy kokietować go formą. W *My z Jedwabnego* Bikont wręcz przytłacza czytelnika nagromadzeniem świadectw, historii, emocji świadków i sprawców, materiałów źródłowych, medialnych cytatów i szczegółów dziennikarskiego śledztwa, które nie są poddane cyzelowaniu i większej formalnej czy artystycznej obróbce. Jakby każde najmniejsze świadectwo, ślad pamięci, najmniejszy fakt i szczegół był w tej ogromnej mozaice ważny, miał znaczenie i żadnego nie powinno się pomijać.

Dopiero po powyższym, sugestywnym i obrazowym wstępie Bikont przedstawia swojego bohatera, sprawiając wrażenie, jakby zasłuchiwała się w jego opowieść, zapominając, jak bardzo ten świat i język stał się dla niego odległy.

Awigdor Kochaw – jedyny żyjący do dziś naoczny świadek, który 10 lipca 1941 roku uciekł z kolumny Żydów prowadzonych na Zagładę, od ponad pół wieku mieszka w Izraelu, a po polsku mówi tak, że dopiero gdy pyta o nazwę pory roku między zimą a latem, uświadamiam sobie, jak odległy to dla niego język (MJ, 302).

Następnie Bikont cofa się do roku 1937, a w zasadzie do opisu ocalałej szkolnej fotografii Awigdora, umieszczonej na samym początku rozdziału. Krótko charakteryzuje profil ideowy szkoły i wyjaśnia, czemu Awigdor jest najmniejszym chłopcem na zdjęciu:

Wizna 1937 rok. Na zdjęciu z piątej klasy szkoły Tarbutu – syjonistycznej organizacji działającej w Europie Wschodniej i przygotowującej młodzież do życia w Palestynie – wzrok przykuwa najmniejszy chłopczyk spoglądający łobuzersko spod przekrzywionej na bakier szkolnej czapki. To właśnie on. Jest najmniejszy, bo przeskoczył jedną klasę. W Polsce coraz ciężiej było być Żydem i jednego roku z Wizny wyjechały do Urugwaju, USA i Palestyny aż cztery rodziny z dziećmi. Musiano rozwiązać czwartą klasę, gorsi uczniowie potwarzali trzecią, a wybijający się, jak Awigdor, przeskoczyli wprost do piątej klasy (MJ, 302).

W szkole wykładowym językiem był hebrajski, ale po polsku uczono historii, polskiego i geografii, tak, by uczniowie mogli kontynuować naukę w polskich szkołach. W szkole uczono się na pamięć wierszy Chaima Nachmana Bialika – „naszego hebrajskiego Mickiewicza” (MJ, 302), jak mówi o nim Kochaw.

Gdy mąż dawnej wychowawczyni, która wyemigrowała przed wojną do Palestyny, spytał się go, jak udało mu się przeżyć, odpowiedział, że „nie chciał zasłużyć sobie na tę pogardę, którą w poemacie Bialika *W mieście rzezi* żywi wobec ofiar nawet sam Bóg” (MJ, 303).

[...] pluskwy spłoszone, wykurzone szczury,
których przodkami – wojownicy świetni,
Machabeusze, wieczni ofiarnicy...
a ich wnukowie, w dniu rzezi, w ciemnicy
Boga chwalili, po czym, wyciągnięci,
ginęli wśród szyderstwa i tortury...
[...] Za nic i po nic wasz ból oraz trwoga...
W chmurach się schowa siwa głowa Boga
ze wstydu, ale nic ponadto... Nic!

(przeł. Wiktor Woroszyński; MJ, 303)

W zapiskach ze spotkań z Kochawem notuje Bikont zdanie jednocześnie charakteryzujące bohatera i pokazujące jego stosunek do roli bezbronnej ofiary: „wojenne losy opowiada z dumą i siłą, ale zarazem tak, jakby odpowiadał na jakieś niewypowiedziane zarzuty, iż ofiary winny się wstydzić swojej bezbronności” (MJ, 239). W dalszej części rozmowy Kochaw podkreśla: „To syjonistyczne wychowanie dało mi siłę, by nie stać się owcą potulnie idącą na rzeź” (MJ, 303). Gdy przyjechał do Palestyny, wstąpił do podziemnej Hagany, by później walczyć w regularnej armii Izraela.

Awigdor przytacza Bikont jeszcze jedną „syjonistyczną” opowieść z dzieciństwa:

Po pogromie w Przytyku w 1936 roku, kiedy to Żydzi przygotowani do samoobrony (mieli nawet broń palną) przeciwstawili się chłopom, jeden ze stryjów Awigdora Jozua zwany Szykiem postanowił przygotować też wizeńskich Żydów do samoobrony i gromadził noże oraz siekiery. Uważał, że trzeba walczyć, a pogromy nie powinny kojarzyć się z tym, że giną jedynie Żydzi. Słuchając jego opowieści, mały Awigdor zdecydował, że przestanie się uczyć polskiego, bo i tak wyjedzie do Palestyny. Nie odrabiał lekcji, nie chciał przy tablicy odpowiadać po polsku (MJ, 304).

Dopiero matka przekonała go, że zmiany zdania, argumentując „że znajomość języków nie zaszkodzi” i że „nie da się zaliczyć hebrajskiej szkoły bez polskiego” (MJ 304).

Według relacji Kochawa, wszyscy Żydzi, jakich znał, chcieli wyjechać do Palestyny. Przeszkodą były tylko pieniądze. Aby wyemigrować do Palestyny, należało zdeponować w banku sumę tysiąca funtów szterlingów na osobę w banku i dodatkowo jeszcze mieć tysiąc na drogę:

– Cała rodzina czekała na wyjazd, ale ja najbardziej – mówi Kochaw, który po skończeniu siódmej klasy uczył się stolarki u sąsiada. Nie wyjeżdżali, bo nie mogli wyciągnąć pieniędzy od dłużników (MJ, 304).

Po reformie agrarnej 1929 roku, wymuszającej na Żydach sprzedaż ziemi, dziadek sprzedał majątek i pożyczył pieniądze czterem dzieciom. Tylko jeden pół-Niemiec regularnie spłacał pożyczkę, reszta zaczęła „spuszcząć psy z łańcucha, gdy dziadek przychodził po procenty” (MJ, 305).

Dalej Awigdor opowiada o zubożeniu w czasie sowieckiej okupacji i zbombardowaniu Wizny na początku wojny sowiecko-niemieckiej, w czasie którego spłonęła większość żydowskich domów, a do tych, które ocalały, wprowadzali się polscy mieszkańcy. Niemcy rozstrzelali część Żydów, a tym, którzy przetrwali, wójt nakazał opuścić miasto. Największa część z nich udała się do krewnych do Jedwabnego. Nieławiccy znaleźli schronienie u krewnych Pecynowiczów, którzy mieli młyn pod Jedwabnem. 10 lipca ostrzeżony przez sąsiadów Awigdor nocował w polu, ale gdy słyszy odgłosy pogromu i próbuje uciekać, wyrostki doganiają go i prowadzą na rynek.

Kazali ustawić się czwórkami i maszerować ulicą prowadzącą za miasteczko. Starał się trzymać środka, żeby jak najmniej oberwać. A że każdy tak się chronił, pochód pęczniał, wypełniał całą szerokość ulicy.

– Wyszliśmy już z Jedwabnego – opowiada dalej – kiedy pomyślałem: „I tak zabijają, ale spróbuję uciec”.

Udało mu się. Trafił do getta w Łomży (MJ, 306).

Reszta rodziny nie miała tyle szczęścia. Później Kochaw dowiedział się, że rodziców z córkami ktoś widział w jedwabieńskiej stodole. Tymczasem łomżyński judenrat organizuje zastępy do pracy poza gettem. Za jedzenie raz dziennie. Gdy wymyka się z pracy i odwiedza znajomą rodzinę Polaków, proszą go, by został z nimi: „W ogóle nie jesteś podobny do Żyda, a po polsku mówisz jak każdy z nas” (MJ, 308). Wtedy budzi się w nim myśl, że mógłby przeżyć jako Polak. Jednak gdy po jakimś czasie goszczące go kobiety dowiadują się, że za przechowywanie Żyda grozi śmierć, proszą, by opuścił gospodarstwo. Wtedy „przeszedł się po wiosce i zobaczył, że ani jeden Polak nie rozpoznał w nim Żyda” (MJ 308). Zrozumiał, że by przeżyć,

może udawać Polaka. Gdy dowiaduje się od Żydów pracujących dla żandarmerii, że budynek gminy w Wiznie spłonął i zgłaszającym się wydają nowe dokumenty, idzie polami do Wizny:

Wszedł do urzędu, gdzie siedział urzędnik, który go nie znał. – Nazwisko? – Wiktor Mielnicki. Imię ojca? – Ignacy. – Imię matki? – Eugenia. Urzędnik sam automatycznie wpisał w rubryce wyznanie: katolickie. To był dokument tymczasowy, bez zdjęcia – opowiada – ale coś miałem w ręku (MJ, 308-309).

Jego dalsze losy wyglądają mniej więcej tak – zatrudnia się jako Polak w gospodarstwie za jedzenie, a gdy zostaje rozpoznany lub uznaje, że robi się zbyt niebezpiecznie, szuka innego oddalonego gospodarstwa. Jedną z historii szczególnie wyraziście obrazuje, jak dobrze Awigdor odgrywał Polaka:

Syn Szai Zacharewicza Daniel, którego dobrze znał, bo mieszkał w ich domu, gdy uczył się w Wiznie, wyglądał na stuprocentowego Polaka i mówił wioskową polszczyzną. Awigdor prosił: „Chodź ze mną, jedyna szansa to udawać goja”, ale tamten nie chciał. Poradził mu za to, żeby odnalazł ich siostrę, która przed wojną przechrzczyła się i wyszła za Polaka, bo szwagier to dobry człowiek. Poszedł do niego, a ten znalazł mu pracę.

– Obgadał z Żydem z Tykocina, rymarzem, który pracował w okolicy za zezwoleniem Niemców, żeby mnie polecił jako polskiego czeladnika – wspomina. – Jedliśmy z chłopską rodziną z jednego kotła, ja jako Polak z nimi przy stole, on jako Żyd siedział z boku i dostawał resztki. Nigdy nie dał poznać, że wie, kim jestem. Na sobotę wracał do getta, ja zostawałem u gospodarzy (MJ, 310).

Dalszy ciąg wydarzeń jest równie niewiarygodny – pijany (nauczył się pić wódkę z Polakami) zostaje zaciągnięty do sołtysa, skąd podstępem ucieka, przeprowia się przez Narew do Niemiec, gdzie pracuje przy układaniu fundamentów za dwie marki dziennie, by w końcu wrócić przez zamrzniętą Narew do Polski. Przy czym coraz bardziej rozbudowuje i odgrywa swoją rolę polskiego chłopca, który tym razem uciekł z roboty u bauera.

Wyćwiczył sobie gest, że niby czegoś szuka w kieszeni i przypadkiem wypada mu jego polskie zaświadczenie z Wizny – znak, że nie jest Żydem. Kupił sobie ręcznie tkane koszule, takie, jakie nosili chłopcy. Zachodził do wiejskich gospód. Słuchał opowieści miejscowych, którzy byli w Prusach, skupiał się, by zapamiętać nazwy. Opowieści o swoich przygodach, których chętnie słuchali gospodarze, wzbogacał o to, co usłyszał. Wyuczył się modlitw i kolęd, żeby się nie odróżniać od Polaków (MJ 311-312).

Gdy w marcu 1944 roku pracuje we wsi Biodry, w jego gospodarstwie bazę zakłada uzbrojony oddział, przedstawiający się jako polskie wojsko. Partyzanci proszą go, by pomógł im przeprawić się do Prus, by zdobyć broń. Awigdor jest z początku nieufny, bo pierwszy raz słyszy pierwszy nazwę Armia Krajowa, ale po udanej akcji namawia dowódcę, by pozwolił mu się przyłączyć. Bierze udział w zwycięskiej potyczce z NSZ-em, rusza z oddziałem w kierunku Warszawy, ale po upadku powstania przychodzi rozkaz, że mają rozwiązać się i zakopać broń.

W jego relacji zdumiewa fakt, że nie pojawia się w niej żadna wzmianka o przejściu frontu i braku Niemców. Może dlatego, że po wojnie również nie czuł się bezpiecznie. W każdym razie Bikont w podsumowującym komentarzu podkreśla jego żelazną konsekwencję w realizacji swojego planu na przeżycie – udawaniu Polaka:

Na historię każdego uratowanego z Holocaustu składają się setki trafionych, szybko podjętych decyzji. Wielu mówi o instynkcie, intuicji, opatrności. W opowieści Kochawa uderza żelazna konsekwencja, z jaką realizował swój pomysł przeżycia: udawanie Polaka. Znakomicie analizował ryzyko, bezbłędnie oceniał szanse, a przecież był tylko nastolatkiem (MJ, 314).

Po przejściu frontu próbuje zaciągnąć się do Armii Czerwonej, a następnie do polskiej. Ale gdy jedzie zaciągnąć się ze skierowaniem, spotyka w pociągu dwóch Żydów z Armii Berlinga. Mówią mu, że w komunistycznej armii jest tyle samo antysemityzmu i że czekają na odpowiedni moment, żeby uciec. Radzą mu pojechać do Białegostoku, gdzie spotykają się wszyscy Żydzi. Hasło to „Amchu!” („Nasz lud!”). „W Białymstoku znalazł się 11 maja 1945 roku. Stał w środku miasta, powiedział »Amchu« i zaraz ktoś podszedł i wskazał, gdzie jest żydowski komitet” (MJ, 314).

Awigdor składa zeznania, stara się odnaleźć bez powodzenia rodzinę, wstępuje do, jak to określa, „undergroundu syjonistycznego” – do Brichy. Dostaje pod opiekę dziewczyny z Litwy i wspólnie w Będzinie w Zagłębiu zakładają kibuc w żydowskiej kamienicy. W kibucu naprawiają polskie i żydowskie książki, a Awigdor dzięki broni od rosyjskich dezertarów uzbraja kibuc i ustanawia zbrojne warty: „Przewidywałem to, co później stało się w Kielcach” (MJ, 315) – wyjaśnia.

Dalsze losy są już typowe dla tuż-powojennej emigracji z Polski do Palestyny: fałszywe greckie paszporty, punkty przerzutowe w Bratysławie, Holandii i zaokrętowanie w Marsylii, wreszcie ucieczka przed Anglikami pod Hajfą. W 1946 jest w Palestynie. Mieszka w kibucu, ale kiedy rodzi mu się syn, chce go wychowywać sam i opuszcza wspólnotę. Dalszą biografię Bikont ujmuje w lakonicznym zdaniu: „Pracował jako mechanik narzędzi rolniczych i mechanik samolotowy w El Al-u” (MJ, 315).

Co prawda w ostatnim akapicie rozdziału Bikont przenosi się jeszcze do roku 1968, ale w zasadzie przytacza tylko notatkę Moszego Holendera, spisującego jego czterdziestoosmiostronicowe zeznanie dla Jad wa-Szem:

Z jego pamięci wspomnienia uwalniały się bez pomocy moich pytań. Mówił wiele godzin, jakby czytając to, co miał przed oczyma, spisane dokładnie i w porządku. Mówił głośno, jasno i denerwował się, gdy to opowiadał” (dokładnie tak jak rozmawiał ze mną ponad trzydzieści lat później). I dalej: „Twierdził, że większość Żydów z jego miasteczka Wizna została spalona w Jedwabnem i że dokonano się to za przyzwoleniem Niemców, ale rękami Polaków”. Zaraz potem dopisek spisującego: „Tego fragmentu nie rozumiem” (MJ, 315).

Nie tylko Mosze Holender nie rozumiał. Po przyjeździe do Białegostoku Kochaw złożył zeznania w Żydowskiej Wojewódzkiej Komisji Historycznej. Szymon Datner obiecał mu, że będzie jednym z bohaterów artykułu o Żydach ocalałych dzięki nowej, przybranej tożsamości. Przygotowany był już nawet jego tytuł: „Lech, Prus i Rus”. Gdy Bikont przynosi mu znalezione w ŻIH-u zeznania⁴, Kochaw zauważa, że nie ma tam zaprotokołowanego fragmentu o Jedwabnem. Wnioskuje po układzie dziurek od zszywaczy i numeracji stron, że ta część zeznania została usunięta: „Pan Datner chciał taki prezent dać Polakom, że to Niemcy zrobili (...) i wyciął ten kawałek” (MJ, 239).

Spotkania z Kochawem opisuje Anna Bikont w swoim dzienniku:

Mówi w miarę poprawną polszczyzną, czasem wtrąca angielskie słowa (...) Po dwóch godzinach miła żona (...) stanowczo prosi, żeby kończyć. „Kochaw ma raka krtani, jest w trakcie chemioterapii, między jedną a drugą serią naświetlań. Do bólu wspomnień dochodzi fizyczny ból mówienia (MJ, 239)

Yehud. Ostatnie spotkanie z Kochawem. Każde przebiega tak samo. Kochaw mówi, dopóki nie przerywa nam żona. Słuchając go, mam poczucie, jakby nagrał swoje wspomnienia na taśmie pamięci, powtórzył je sobie już setki razy i teraz odczytuje mi ułożony w głowie gotowy tekst. Mówi w takim napięciu, że nie śmiem mu przerywać pytaniami. Dopiero gdy kończy, widać, jaki jest wyczerpany (MJ, 247).

W innym miejscu Bikont relacjonuje swoją rozmowę z profesorem Israelem Gutmanem:

⁴ Zeznanie Kochawa zamieszczone zostało też w drugim tomie dokumentów *Wokół Jedwabnego* opublikowanych w 2002 roku przez IPN (*Wokół Jedwabnego*, pod red. P. Machciewicza i K. Persaka, t. 2, Warszawa 2002).

Zaglądam do Gutmana. Opowiadam mu o mojej rozmowie z Kochawem i o tym, jak bardzo wydał mi się człowiekiem udręczonym wspomnieniami.

– Widziałem w gazecie jego zdjęcie – mówi mi – w salonie, na tle okazałego zdjęcia synagogi, gdzieś ze wschodu Polski. Ja bym nigdy u siebie w domu takiej fotografii nie powiesił. Dla części Izraelczyków cień przeszłości kładzie się na każdy moment ich życia (MJ, 244).

Gdy czytałem te charakteryzujące Awigdora Kochawa komentarze, pomyślałem najpierw o udręczeniu wspomnieniami, o ciężarze pamięci, którą musiał nieść przez całe życie; i że jest to pamięć odmienna, obca, żydowska. Tego, co mówił, nie rozumiał nawet pracownik Jad wa-szem, a Szymon Datner usunął część jego zeznań z archiwum. Ale zaraz potem pomyślałem o innych bohaterach książki Bikont, o Janie Skrodzkiem, który zdecydował się nieść przez całe życie ciężar pamięci potomka zbrodniarzy, o Leszku Dziedzicu, który na przekór wszystkiemu i wbrew wszystkim dał świadectwo prawdziwej wersji wydarzeń z Jedwabnego, o Stanisławie Ramotowskim i prokuratorze Romualdzie Ignatiewie. O wszystkich, którzy o tę samą, wspólną pamięć walczyli. Wreszcie o Annie Bikont, która przez cztery lata zmagająca się z niepamięcią, odsłaniając coraz to nowe, bardziej złożone i zawikłane wątki „doświadczenia Jedwabnego”. A opowieść Awigdora Kochawa, tego, który przeżył, skazany na śmierć, bo pamiętał o „syjonistycznym wychowaniu”, by złożyć świadectwo, jest bardzo ważną częścią układanej przez Bikont mozaiki.

Jeżeli porzucimy model etnicznego „polskiego etnonacjonalizmu”⁵, który, jak twierdzi Beata Michlic, pojawił się pod koniec XIX wieku jako „element ogólnoeuropejskiego nacjonalizmu o charakterze wykluczającym i integrystycznym”⁶, uzależniającym przynależność do narodu od rodowodu, na rzecz modelu nacjonalizmu obywatelskiego, opierającego się na szacunku dla różnorodności kultur i wyznań mniejszości, które zamieszkiwały i nadal zamieszkują Polskę, przyjmując także ich wspólnoty i bagaże pamięci, to pamięć Awigdora Kochawa stanie się bardzo bolesną, ale jednocześnie naszą, polską pamięcią. Nie będziemy mogli wtedy mówić, jak Elke Olszewicz, „po co odgrzebywać to po latach, komu to potrzebne?”, czy wzorem pracownika Jad wa-szem: „tego fragmentu nie rozumiem”.

⁵ J. B. Michlic, *Obcy jako zagrożenie. Obraz Żyda w Polsce od roku 1880 do czasów obecnych*, przeł. A. Switzer, Warszawa, s. 16.

⁶ Tamże.

Bibliografia

- Bikont A., *My z Jedwabnego*, Wołowiec 2012.
- Tokarska-Bakir J., *Wy z Jedwabnego*, w: tejże, *Rzeczy mgliste. Eseje i studia*, Sejny 2004.
- Michlic J. B., *Obcy jako zagrożenie. Obraz Żyda w Polsce od roku 1880 do czasów obecnych*, przeł. A. Switzer, Warszawa.
- Wójcińska A., *Anatomia Zbrodni. Wywiad z Anną Bikont*, w: tejże, *Reporterzy bez fikcji. Rozmowy z polskimi reporterami*, Wołowiec 2011.
- *Wokół Jedwabnego*, pod red. P. Machcewicza i K. Persaka, t. 2, Warszawa 2002.

Jan Miklas-Frankowski

University of Gdańsk

“THAT ZIONIST EDUCATION GAVE ME STRENGTH
NOT TO BECOME A SHEEP LED MEEKLY TO SLAUGHTER”.
THE TESTIMONY OF AWIGDOR KOCHAW FROM ANNA BIKONT’S
WE OF JEDWABNE

Summary

The structure of Anna Bikont’s *We of Jedwabne* (2004) is two fold. On the one hand, it is a diary that the author kept for four years, on the other, it is a collection of fifteen reportages of which the vast majority is devoted to individual characters. The protagonist of Chapter Eight is Awigdor Kochaw, one of the two living (at the moment of author’s research for the book) Jewish witnesses of the Jedwabne massacre. The article is an attempt at analysis of Awigdor Kochaw’s testimony presented in Bikont’s book with special focus placed on the role of Zionism in his biography. It also elaborates on the notion of community memory.

Keywords: Holocaust, survivor guilt, Anna Bikont, Polish literary reportage, community memory, the Jedwabne massacre